Rok 1898. Lwów, dnia 16. maja. Nr. 20.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

PRÓBY TONÓW.

Motto.

Próbuję tonów bom objął rękami
Harfę niegraną.
Bo pożegnałem cierpieniem i łzami
Tamtą, kochaną.

Nie wiem od jakich się podniosą wschodów
Poświaty nowe,
I czy oświecą znowu miast ogrodów
Pola jałowe.

Nie wiem czy będzie kiedy w mojej duszy
Wesołe granie,
Stoję i czekam, czekam w cichej głuszy
Co też się stanie....

Odlot jesieni.

Podniosła białe skrzydła i jak ptak z gałęzi
Na której chwilę spoczął w powietrze się wzbija...
Jak łódka odczepiona falami z uwięzi
Ręce sterczące z wody bezlitośnie mija.

Krzakn róży! coś pęki wypuścił wieczorem
Nic nie wiedząc, że jasność tak prędko przemija
Duszo moja! tam w dali przysłoniona borem
Ciemność się głuchej nocy na szafiry wzbija.

Modlitwa nie pomoże. Czyż jej szept zatrzyma
Akordy konające kiedy pękły struny?
Czarna noc okryła słońce swem ciałem olbrzyma...

Wesoło młodą głowę złóż do zimnnej trumny
I śmiej się prosto w niebo!.. Widzisz jak odlata
Biały ptak, mewa pieśni, gdzieś na krańce świata.

W księżycową noc.

Rozszemrany, po dolinie
Strumień lekko bieży,
Na wód ciemnym seladynie
Pas srebrzysty leży.

Uciec chce się huraganem
Z ziemi nędz i trudu
I iść mostem tym świetlanym
Gdzieś w krainę cudu.

Ale stopy me roztrącą
Te flizy promienne —
Poślę nimi duszę drżącą
I marzenia senne...

* * *

Dzień się kładzie mijając na dniu co przeminął
Jak jedna karta książki — na jej drugą kartę.
Leżą białe, czasami brudne i podarte...
Jeżeliś je niebacznie odkładając, zwinął,
Lub przygniótł czemś za ciężkiem albo czemś [zwalanem,
Już się nigdy nie ozwie akord co zaginął
I orzeł nie poleci co swe skrzydła zwinął
I modlitwa przerwana nie stanie przed Panem.

Dziesięciowiersz.

Na wątłej roli zeszłe blade kwiaty
Ściąłem szyderstwem o pewnej godzinie,
I włosy mojej usiałem dziewczynie
Pościnanemi. Róże i bławaty
Długo we włosach tkwiły rozwinięte,

I długo żyły. Kiedy grzebię w pyle
Tych dni minionych, zdaje mi się jeszcze
Że widzę złote lipcowe motyle
Jak obsiadają korony uschnięte —
I snem tym dobrym chłodzę się i pieszczę.

Złuda.

Czasem się zdaje, że mi życia fale
Dadzą się czepić jakiej twardej skały,
I czasem milkną na mych wargach żale.
Daremnie! Płyną dalej... Skały pozostały...
Na całej tej wichrami sieczonej przestrzeni
Tylko ja... i ta pustka, co się srebrem mieni.

Zawód.

Szedłem do niego jak do brata
I miałem jakieś pieśni w duszy,
Czułem że tego nic nie zgłuszy
Nawet na pieńku topór kata.

Szedłem do niego z otwartemi
Wszystkiemi duszy mojej drzwiami,
Nie czułem pod stopami ziemi
I nimb widziałem tkany skrami.

Nad jego białem pysznem czołem
Co było od marmuru bladsze,
Marzyłem spotkać się z aniołem...
A teraz smutny — w ziemię patrzę.

Ból głowy.

Przez ramię czasem zagląda mi w oczy
Stara kobieta. Poszarpana chusta
Spada z jej ramion; krwią ociekłe usta
Przykłada z tyłu chciwie do mej czaszki
I ssie, mlaskając, mózgu mego zwoje.
Zapadam w jakieś fosforyczne blaski,
Których huragan czarne tło przebiega,
I wątpię strasznie, wątpię czy się brzega
I czy się lądu dotkną stopy moje...

Nikt nie widzi!

W wyludniony kraj,
W duszy mej pustynię,
Chciałem zaszczepić Maj
I pieśń co cicho płynie.
Umarły padł a pieśń zamarzła w perłę lodu...

W pustynię mojej duszy
Od mrozu popękaną
Próżno rzucam co rano
Nadzieję co łkania głuszy...
Kona, jak pieśń na strunach rozstrojonej lutni...

Na moją biedną głowę
Ktoś naciska co rano
Koronę cierniową
W tysiąc kolców ubraną...
I nikt jakoś nie widzi, że mię ciernie ranią...

Rytm.

Z twardej opoki życia wykrzesać iskier pęk
I włożyć sobie na głowę koronę z błyskawic,
Wygnać z zaułków duszy hjenogłowy lęk
I iść jak pochodnia jasna w kraj wilgotnych
[mgławic!

Wypatrzyć w nieba toni tajemny gwiezdny znak
Zrozumieć lśniących linji tajemne znaczenie,
I być jak w skalnych turniach rudawopióry ptak
Jak on drapieżny, cichy... jak marzenie!

Przeczysty nieskalany błękit na głowie mieć
A w koło tyle ciszy by siebie zobaczyć,
I całą świata treść w swej duszy chwycić sieć
A tym co w dole wyją, z pogardą przebaczyć!...

Przeszłość.

Głowę wparł w jasny błękit, oczy utkwił w górze
I patrzy za orłami co pływają małe
Jak muchy. Stoi gigant zamieniony w skałę
Wrosły ciałem potężnem w skał wapiennych
[morze.

Wstęgi biegą czerniawe po ciele olbrzymia
Jak krwi strugi nieznanej i dalekiej rasy...
Sterczy z ziemi jak sztandar by po wszystkie czasy
Świadczyć wiekom i czynom których dziś już
[nie ma.

Silny granit jak kamień grobowy co leży
Długo jeszcze, choć kości uciekły z wiatrami;
Pokoleń ludzkich długo obmywany łzami,
Zębatymi się szczerby na szafirze jeży.

Gigant trup lecz na ciele trzyma pasmo całe
Gór wapiennych. To Przeszłość zamieniona
[w skałę.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Kochany chłopcze, żal mi ciebie — odparł stary — gdybyś był tutaj obecnym, byłbym ci powiedział jako koledze. Ale wiesz sam, że gdyby się opowiadało wszystko, co się wie o takich rzeczach, to wiele małżeństw nie przyszłoby wcale do skutku, nie mówiąc już o tem, że człowiek sam stałby się dla wszystkich niemożliwym. Prócz tego wydawało mi się to rzeczą, na którą raczej twój ojciec powinien był zwracać uwagę...

— Jeszcze w dodatku poddajesz mi pan myśl, iż mój ojciec o tem wiedział! Tak, jesteś pan starym cynikiem, byłeś nim zawsze!

Poczciwe oczy Jana świeciły jak u tygrysa, gdy to mówił. Wyszedł bez pożegnania.

— Biedny chłopiec — rzekł stary doktor i wziął znowu do rąk gazetę — nad tym zawsze cięży fatalność!

Znajomi Jana Bennechena znajdowali teraz, że pobyt zagranicą zrobił z niego kompletnego dziwaka. Nie odwiedzał nikogo, nie było go nigdy w domu, nie podejmował na nowo swej dawnej praktyki. W nocy jednak lub późnym wieczorem, można go było widzieć jak z podniesionym do góry kołnierzem włóczył się po ulicach, najchętniej koło domu ministra. Dlatego też sądzono, że przebywa bardzo wiele w gronie rodzinnem.

Tak jednak nie było; przez cały dzień krył się w najskrajniejszych dzielnicach miasta i dopiero o zmroku zbliżał się do tego miejsca, dokoła którego kręciły się trapiące go bolesne myśli.

Pewnego wieczora spotkał doktora Rohde właśnie w chwili, gdy ten szedł do Krystyny.

— Chodź ze mną, pomożesz mi — rzekł stary, który, zdawało się, zapomniał już o ostatniem spotkaniu.

Jan poszedł za nim. Nie mógł się oprzeć chęci zbliżenia się do Krystyny.

Krystyna, zobaczywszy go, drgnęła. Doktor Rohde położył jej jednak rękę na ramieniu i rzekł prawie czule:

— Tylko żadnych scen teraz, moja droga! Życie było dla pani dość ponure; powinnaś się cieszyć, że na ostatku przychodzi jakiś promyk; jak sądzić mogę, jestto szczęściem, że oboje możecie być razem i że pani pozwolisz mu się pielęgnować przez ten czas, który jeszcze pozostaje. Tak, dzieci, teraz się wygadajcie...

Po tych słowach poszedł „stary cynik“, a Jan długo klęczał przy łóżku i wynurzał przed Krystyną żale swego serca.

Z początku nie rozumiała go; po każdem słowie, które wymawiał, zmniejszała się wielka niemożliwość; jaśniej, coraz jaśniej pojmowała wszystko; drzwi pękały jedne po drugich, a podczas gdy łzy spadały jej na poduszkę, jej ukrywana miłość wypływała z duszy i unosiła ją z jej nędznego, zatrutego ciała w krainę błogości, o jakiej nigdy marzyć nie śmiała.

Zapomniała mówić do niego „pan“ i tych wszystkich eleganckich słów, których ją uczono, odnalazła swą silną, szczerą mowę chłopską, opowiadając mu, jak się to wszystko stało i prosząc go, aby jej przebaczył, że go tak mało rozumiała.

Przebaczyli sobie wzajemnie, wykreślili całą przeszłość z pamięci, aby żyć wspólnie w miłości, przez „ten kawałek czasu, który jeszcze pozostał“.

Od tego dnia objął doktor Bennechen opiekę nad Krystyną. Matka jego patrzyła na niego badawczo, gdy jej opowiadał, a on spoglądał na nią również bystro. Było jednak wielką ulgą dla niego, gdy pani Bennechen rzekła tonem współczucia:

— Biedna Krystyna! Obawiam się, że nabawiła się tej strasznej podagry z tego mieszkania w piwnicy; czytałem niedawno, że to ma być bardzo niezdrowo.

Krystyna i Jan nie wymieniali nigdy między sobą imienia stryja Andersa, a ten ze swej strony unikał starannie spotkania się z doktorem Bennechenem.

W ogóle nie mówili z sobą wiele, skoro jednakowoż skończył zmianę okładów i bandaży i sprawił jej ulgę, jaką tylko mógł, zapraszała go, aby siadał blisko przy jej łóżku.

Leżała wtedy cicho i patrzyła na niego, nie lubiła jednak, gdy na nią patrzył, chociaż zapewniał ją uroczyście, że w jego oczach pozostała prawie taką samą jak dawniej.

Krystyna miała przed szpitalem porządnego stracha, który tak jest głęboko zakorzeniony w ludzie, a tak słusznie usprawiedliwiony. W końcu jednak przekonał ją doktor i pozwoliła się przewieść do szpitala.

Dzień, w którym miała być przewieziona, był jasnym, słonecznym dniem kwietniowym. Poczta przyniosła list od naczelnika pilotów, który tylko z trudnością odcyfrowała.

„Kochana Krystyno! Sołtys powiedział, że muszę wnieść skargę na piśmie i tak też zrobiłem, a teraz moja skarga powróciła do mnie, możesz jednak wyobrazić sobie, jak ta wyglądała wskutek wielu uwag i czegoś takiego: odesłać do poborcy podatkowego, odesłać do sędziego, a pisał na niej inżynier drogowy i całe duchowieństwo i wreszcie pozostało tylko bardzo mało miejsca, na którem sam napisałem: „Zupełnie, jak się spodziewałem — Seehus“; ale sędzia jest z tego powodu na mnie wściekły. Ale to jeszcze nie najgorsza rzecz; dobrze jednak jest że tobie jest dobrze, jak pisałaś ostatnim razem, gdyż nam tu wcale nie jest dobrze, czego ci przedtem nigdy nie chciałem opowiadać, ale teraz muszę to spuścić z pióra, bo mi do djabła już tego wszyskiego za wiele. Twój ojciec jest biedny, zupełny żebrak; nie posiada nic,

wszystko poszło na sprawę, którą twój mąż ma w rękach; prócz tego jest teraz taki, że nic pracować nie może. Możesz sobie sama wyobrazić... Najchętniej siedzi na ławie i gapi się na ścianę. Musiałem ci to teraz opowiedzieć, gdyż musisz przyjechać do domu i poradzić na to, gdyż to przechodzi mój rozum, a sądzę, że on traci rozsądek i zmysły; ale jeżeli nie możesz przyjechać, to napisz mu co dobrego, najlepiej o tej sprawie. Twój stary przyjaciel *Laurenty B. Seehus*".

Krystyna położyła się na poduszkach i zapłakała. W ciągu zimy zmuszała się nieraz do pisywania do domu wesołych listów, a naczelnik odpowiadał w tym samym tonie. Teraz zrozumiała, że oboje się okłamywali i odczuwała potężną tęsknotę za ojcem i ogniskiem rodzinnem i wybrzeżem na zachodzie. Usiadła na łóżku, aby napisać wesoły list do ojca.

„Kochany ojcze, gdy słyszę, jak ci jest źle, wtedy mojem sercem owłada wielki smutek i wstyd. Gdyż widzę teraz, że nie powinnam była nigdy od ciebie odjeżdżać. Teraz jednak musisz mi przebaczyć i być święcie przekonanym, że cię szczerze i z całego serca kocham. Nie mogę przybyć do ciebie, ponieważ nie jestem zdrowa; ale zresztą jest mi dobrze".

Krystyna zatrzymała się; pisała każde słowo z wysiłkiem i myślała, że Bóg jej już przebaczy, jeżeli nie powie całej prawdy, aby nie smucić ojca, który i tak już miał dosyć do zniesienia.

Powóz zajechał na podwórze; dziewczyna przyszła i szepnęła:

— Doktor.

Był to powóz szpitalny, który przyjechał po Krystynę.

Ogarnął ją strach i gdy ujęła znowu za pióro, nie mogła się dłużej powstrzymać.

„Nie, kochany ojcze, to nie jest prawda, wcale mi nie jest dobrze; mam gorzej jak najgorsi i teraz zabierają mnie, gdyż muszę umierać i już cię więcej nie zobaczę, i tych domów i morza tam w domu; pozdrów naczelnika pilotów! Żegnam cię! Twoja *Krystyna*".

Gdy doktor przystąpił do jej łóżka, była tak znużona, że musiał ją trzeźwić. Napisał adres na jej liście, a potem pomagał wynieść ją do powozu.

Chociaż transport odbywał się z wielką ostrożnością i oględnością, chora jednak odczuła to silnie, gdy znalazła się nareszcie na górze w szpitalu w łóżku.

Przez długą chwilę leżała z zamkniętemi oczyma; gdy je nareszcie otworzyła, uśmiech przesunął się po jej obliczu. Przez okno widać było jasne niebo wiosenne; słońce wielkimi snopami wpadało do jasnego, przyjemnego pokoiku, który Jan zamówił dla niej.

Krystyna zwróciła głowę do doktora i rzekła:

— A teraz serdeczne ci dzięki, Janie! Będzie mi tutaj dobrze umierać.

I wyciągnęła się na białem, czystem prześcieradle i zamknęła oczy na nowo.

Ale uśmiech pozostał na jej zeszpeconych rysach i uczynił ją w jego oczach tak piękną, jak kiedyś w minionych dniach...

XV.

Była już dziesiąta przed południem, Njaedel Vatnemo jednak nie przyłożył ręki do roboty.

W izbie w której siedział, podłoga była czarna jak ziemia, łóżko pełne siwej słomy, a na niem trochę łachmanów; klamka od drzwi odpadła, tak, że drzwi do kuchni stały na pół otworem, w kominie zaś stał czarny dzbanek od kawy na kilku kawałkach torfu.

Njaedel siedział i patrzył przez okienko. Roboty wiosennej nie ukończył nawet jeszcze do połowy, a była to już połowa kwietnia. Ciężkie członki zwisały bezwładnie; rozczochrana broda była już zupełnie siwa dokoła ust, a grzbiet jeszcze więcej zgięty niż przedtem. Na całem ciele olbrzyma wyciśnięte było jakieś piętno niemocy, gdy tak siedział w tej niskiej izdebce, podczas gdy na dworze padał deszcz ulewny, a wiatr świszczał w kominie.

Jego myśli przebiegały to małe koło, w którem kręciły się już około dwóch lat. Była to ta „sprawa", która się nigdy nie chciała skończyć.

Wszystkie pieniądze, które na nią poszły, wszystkie piękne słówka i obiecanki brata, wszystkie nadzieje i wszystkie rozczarowania, wszystko to, co go przez tak długi czas trzymało w naprężeniu — wszystko to zaczęło go teraz przygniatać, jak ciemna, tajemnicza potęga, z którą walczył w ciemnościach, nie zdając sobie zupełnie z niej sprawy.

Tam, w górach, miał do czynienia z osuwaniem się kamieni; ale była to uczciwa walka, a gdy stracił wszystko, było też i po wszystkiem. Tutaj jednak, nad morzem, prześladowało go coś innego. Gdzie się tylko zwrócił, natrafił wszędzie na coś zimnego, miękkiego, co się nie dało strzaskać i nie ustępowało. Napotykał na to, gdy szedł do kościoła, a ludzie się przed nim usuwali, przed sądem, gdy przy każdej sposobności przypominano mu, że stał pod oskarzeniem karnem; gdy chciał podjąć na nowo robotę koło rowu, spotykał to samo; stał pod jakąś klątwą. Jakieś przekleństwo spoczywało w powietrzu; zajmował się dalej robotą w stajni i w oborze, nie wiedząc, jak sobie z tem poradzić.

Gdy tak siedział i patrzył, mógł zaledwie odróżnić rys napół gotowego rowu. Był to jego wielki plan, gdy przyszedł do Krydsvigu; rów miał tworzyć granicę przeciwko piaskowi i chronić jego dwór przed zawianiem. Myślał także i o tem, aby zasadzić wierzby i trawę, jak to czytał w gazetach.

Teraz rów zapadał się, a ludzie z Börevigu znosili pilnie łozinę i głębokiemi bruzdami przerzynali jego pole, tak, że piasek nabierał coraz większej siły.

Naczelnik pilotów Seehus wszedł przez kuchnię.

— Dzień dobry, Njaedel, jest tu list z Chrystjanji.

Njaedel spojrzał i uśmiechnął się. Listy Krystyny były dla niego jedyną radością.

— Chcesz kawy, naczelniku?

— Nie, dziękuję! — odparł ten. Nie miał żadnego zaufania do kawy Njaedela.

Otworzył list i zadumał się nad dziwnymi, krzywymi wierszami i nad niepewnem pismem; prócz tego atrament się rozmazał tam, gdzie padały jej łzy.

Czytał, zdumiewał się i czytał znowu, ten krótki list, który zawierał tyle.

Njaedel nie rzekł ani słowa, ale w końcu zbladł jak trup. Gdy naczelnik odłożył list na bok, wziął go, siadł i patrzył w niego, chociaż pisanego czytać nie umiał.

Ale w naczelniku pilotów gotowało się już oddawna; podniósł się gwałtownie i zawołał:

— W tem wszystkiem jest jakieś łajdactwo, Njaedel! Jak się nazywam Laurenty Boldemann Seehus, jest w tej całej sprawie złodziejstwo jakiegoś nędznika! Twemu bratu nie wierzę; to rzecz pewna, wiesz o tem. Najprzód przyszedł i mydlił nam oczy, że Krystyna chce za niego wyjść koniecznie za mąż, a obawia się tylko, że ty będzież miał coś przeciwko temu. W ten sposób pozyskał nas sobie, że zaczęliśmy się namawiać, a potem obełgał nas, że wszystko jest dobrze i pięknie. Ja jednak zanważyłem już w listach Krystyny, że...

Urwał, głos mu odmówił posłuszeństwa; cofnął się do kuchni, aby się wykaszleć i wydychać porządnie.

— Nie, nie — odparł Njaedel i wstrząsnął głową — nie powinieneś mówić tak źle o Andersie; gdybyś go tylko znał...

Drzwi dworku otworzyły się ostrożnie i do kuchni wśliznął się się Sören Börevig.

— Czego chcesz? — wrzasnął Njaedel i skoczył.

Sören zbliżył się ostrożnie i trzymał się blisko naczelnika.

— Chciałem ci przynieść pozdrowienie i dobrą nowinę — rzekł łagodnie — od znajomych z Ameryki. Ja także dziś list dostałem.

Njaedel schował szybko list Krystyny.

— Przedewszystkiem pozdrowienie dla naczelnika pilotów od jego siostry; owdowiała, wiesz o tem zapewne? — mówił Sören łagodnie.

Nie, naczelnik o tem nie wiedział. Sören Börevig wyciągnął list pochodzący od jego brata i zaczął czytać:

„Mistress Johnson, siostra naczelnika pilotów we Krydsövigu, prosi mnie, abym go pozdrowił i zapytał, czy nie chce przyjechać do Ameryki i zamieszkać z nią razem, albo też okupić się w bliskości jej farmy".

— O tem rzeczywiście myślałem często — szepnął Seehus.

— A potem byłoby jeszcze coś dla ciebie Njaedel — ciągnął Sören dalej i szukał w liście.

Ciąg dalszy nastąpi.

NIECO O MŁODEJ LITERATURZE NIEMIECKIEJ.

Szkic literacki.

Dokończenie.

W pierwszm akcie mamy nastrój ludu żydowskiego owej epoki, walki faryzeuszów, kapłanów, dworu. Jan napotyka Szymona Galilejczyka i od niego po raz pierwszy słyszy proste a straszliwe dlań słowo, że wyżej ponad zakonem i ofiarą stoi... miłość. W duszę Chrzciciela rzucona straszna zagadka; dzikie, pustynne jego serce tego nie rozumie... Gdy Herod z Herodjadą i córką nadciągają, znajduje on tyle siły, by zmierzyć ich piorunującem wejrzeniem, pełen wzniosłości i potęgi, ale usta jego szepcą w zwątpieniu: więc Galilejczyk mówi — miłość? Tymczasem piorun jego wejrzenia padł w serce Salome; młody ten, czarowny, pełen trucizny kwiat zapłonął, drży, otwiera ku niemu kielich. I Jan wchodzi do komnaty królewskiej. Córce, wołającej doń, by ją jako płomień pochłonął, powiada: idź — matce ciska w twarz miano cudzołożnicy. I dumna, straszliwa Herodjada zdobywa się tylko na rozkaz — wyprowadzenia go z komnat. W trzecim akcie widzimy Jana, coraz mocniej dręczonego duchem ewangelji miłości, której kurzące, płomienne jego serce nie rozumie; przed świątynią, do której Herod prowadzi wszeteecznicę, zgromadził się tłum, wrzący nienawiścią. Jan podniósł kamień; gdy go ciśnie — tłum rzuci się na parę jawnogrzeszników i zmiażdży ich, lecz Chrzcicielowi wyrywają się z ust złamane słowa: „W imię Tego, który — każe — cię miłować". Kamień wypada mu z dłoni.

I jeszcze jeden akt, ze wspaniałą sceną między ambitnym, słabym, niepozbawionym pewnej szlachetności Herodem a Janem, i jeszcze wspanialszą — między nim a uosobieniem grzechu: Salomą; ta — odtrącona, wzgardzona, daje folgę przewrotnym swym instynktom — i kończy lubieżny swój taniec, dzierżąc wysoko głowę Chrzciciela na złotej misie — za sceną... W tej samej chwili rozlegają się pod oknami tysiączne okrzyki, wznoszą się do witania dłonie i gałęzie palmowe, słychać radosne: Hosanna! To Chrystus odbywa wjazd do Jerozolimy...

Dzieło Sudermanna wrażenie robi silne, większe w czytaniu, jako poemat, niż na scenie, gdzie refleksje i walki psychiczne nie zastąpią akcji. Najlepiej jest skreślona postać córki Herodjady, i nic dziwnego — błyszczący tęczą wąż ów, pełen rozkosznej trucizny, tak przypomina niejedną *fin de siècle'istkę* ze świata paryzkiego lub nawet berlińskiego... Zresztą znajduje się w dziele, mimo mnóstwa świetnych typów, zbyt wiele niekonsekwencyj i efekcików, by można było uważać je za rzeczywiste wniknięcie w ducha ewangelji, za owoc natchnienia poetyckiego...

W innym zupełnie tonie są trzymane dalsze dwa dramaty, o których wspomniałem. Dramat Herzla osnuty jest także na tle żydowskiem, a nawet na najnowszem — zajmuje się kwestją „anty". Herzl jest feljetonistą osławionej „Neue Presse", o manierach paryżanina, w ostatnim czasie stanął na czele ruchu sjonistycznego — śladów tego atoli w sztuce niema. Tendencja jest wprost antysjonistyczna, bo rzecz też pisana przed kilku laty, a jeżeli teraz oddana na scenę, to

chyba dla zysku. Bohater, młody adwokat, dr. Samuel, ma przed sobą jeden ideał: by żydzi zburzyli *ghetto* duchowe, w którem żyją i zbratali się z kulturą powszechną, z ludnością chrześcjańską. W pracy spotykają go atoli same zawody: przyjaciel od serca, chrześcjanin, opuszcza go, ulegając nowoczesnemu prądowi; pragnąc, jako adwokat uczciwie sfinansować wielkie przedsiębiorstwo giełdowe na korzyść rotmistrza Schrama, zostaje, jako człowiek, pchnięty do agitacji śród robotników, przeciw owemu rotmistrzowi; nareszcie, gdy ten rzuca mu najniesprawiedliwiej w twarz obelgę: „kanalje żydowskie!“ — bohater nasz policzkuje go i — w pojedynku ginie. Kończy słowami: „Żydzi bracia moi, precz stąd... precz z *ghetta!*“

Wartość artystyczna tego dzieła jest bardzo mała; bohater jest mglistym rezonerem, charaktery zaledwie naszkicowane; najplastyczniej wykończony akt pierwszy, obraz rodzajowy (gratulacja w domu żydowskim po zaślubinach), oraz postać nawpół komiczna giełdziarza Wassersteina. Do literatury dzieło Herzla z pewnością nie przejdzie.

Znajdzie może natomiast w niej miejsce dramat Langmana. Biedny ten, mały urzędniczek państwowy w Bernie może o sobie powiedzieć, że pewnego dnia obudził się... sławnym. Nic dziwnego, umiał uderzyć w świeży temat świeżą, silną ręką. Wziąwszy asumpt z pewnej rozprawy sądowej, przedstawił fakt z rzeczywistego zdarzenia, mało zmieniony, tem bardziej uderzający prawdą tak zewnętrzną, jak i psychologiczną. Jest i teza, czysto Ibsenowska.

Bartel Turaser jest nędzarzem, robotnikiem fabrycznym. Kocha bezgranicznie synka swego, i bezgraniczną jest też jego rozpacz, gdy dziecka chorego leczyć nie może. W tym stanie rzeczy zjawia się kusiciel: w fabryce wybucha strejk przeciwko nieludzkiemu zarządcy Kepplowi, który nadto prześladuje zwierzęco młodą jakąś robotnicę. Bartel ma się przyłączyć do strejku i jest zdecydowany sądownie świadczyć przeciw Kepplowi w sprawie owej robotnicy, lecz Keppel zjawia się... ofiarowuje mu poważną sumkę... i biedak, który nagle ujrzał możność ratowania synka, ulega pokusie: świadczy przeciw owej robotnicy, która idzie też do więzienia — za oszczerstwo. W ten sposób zdobyty grosz Bartelowi szczęścia nie przynosi. Dziecko, nieprzyzwyczajone do zbyt obfitej żywności, umiera na niestrawność, — on zaś wije się pod biczem pogardy i wstrętu towarzyszów pracy. Oddaje się tedy sam w ręce sądu. „Co za hańba!“ — woła doń żona. „Lecz co za ulga! — odpowiada — gdy wrócę z więzienia, rozpoczniemy nowe życie“...

Przypomina to zakończenie z „Podpór społeczeństwa“ Ibsena...

Sztuka ta jest jedną z głębszych nowoczesnego repertuaru niemieckiego, choć nie jest wielką — jak tego chcą odczuwający posuchę literacką krytycy niemieccy. Brak jej szerszych widnokręgów... ***P. K.***

ADAM KRAJEWSKI.

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Rzęsiście oświetlone salony kasyna, wrzały już pełną zabawą, gdy Albin wraz z Niną przekroczył progi sali balowej, witany po drodze przez znajomych. Nina wyglądała prześlicznie w sukni niebieskiej, a jasne jej jak len włosy, przydawały jej anielskiej twarzyczce niezwykłego uroku. Między młodzieżą zebraną pod wielkim żyrandolem sali, rozległ się szmer podziwu i wszystkich oczy zwróciły się na wchodzącą parę.

Albin postępował dumnie obok żony; pochlebiało mu to, że wszyscy na nią patrzą, że mu zazdroszczą w duchu posiadania tego skarbu. Poprowadził ją do kanapy, z której wnet pochwycił ją jeden ze znajomych w taniec, a sam przystąpił ku kołu zebranych pod żyrandolem danserów, przyglądając się, jak Nina, lekko niby ptaszek, po sali walcuje. Para za parą przesuwały mu się przed oczyma, migając nito barwne kwiaty, lub szkiełka w kalejdoskopie.

Nagle uczuł na sobie palące oczy jednej z danserek, która przesunęła się obok niego i utkwiła weń przenikliwe spojrzenie w przelocie. Posunęła dalej w kółko walcując, a on mimowolnie pobiegł za nią oczyma. Zdawało mu się, że oczy te magnetyzują go, że są ustawicznie w niego wlepione, że czuje jeszcze lekki szelest sukni, którą się o niego otarła. Zanim sobie mógł zdać sprawę z tego, co się z nim przed chwilą stało, przesunęła się po raz wtóry przed jego oczyma i znowu to samo spojrzenie z jego wzrokiem się spotkało. Pod wpływem tych spojrzeń, przelotnych jak dwie błyskawice, nieuważał uśmiechu Niny, jaki mu, przelatując obok niego, przesłała. Stał jak nieprzytomny, jak pijany, nie słysząc ani cichnących tonów walca, ani niespostrzegając tego, jak para za parą odprowadza się na miejsca. Dopiero gwar, powstały po ścichnięciu muzyki, przywrócił go do przytomności.

Pospieszył do żony, usiadł przy niej i siedział tak milcząc, wpatrując się w przeciwległy kąt sali, gdzie otoczona młodzieżą, siedziała piękna Malwina. Wyglądała w istocie zachwycająco, po królewsku! Piękną była tą pięknością, która z mężczyzny zdolna zrobić niewolnika — lub zbrodniarza. Żółta jedwabna suknia, koloru słonecznika, ubrana płomiennymi makami na gorsie, niby złotemi ramami okalała alabastrowej białości ramiona i twarz, na której para, niby czarne djamenty błyszczących oczu, oprawnych w duże łukowate brwi, zdawała się czarować wszystkich w około.

Czy się Albinowi tylko zdawało, czy było tak w istocie, ale ile razy zwrócił się w stronę Malwiny, tyle razy oczy jej niby od niechcenia spoczęły na nim, a on choć starał się usilnie w nie nie patrzeć, przecież pociągały go ku sobie.

Nina nie zdawała się spostrzegać roztargnienia męża. Nie znała tajemnicy jego serca i nie starała się go badać kiedykolwiek co do tego. Bawił ją zresztą ten pierwszy świetny bal, na jakim była; gdyby nawet była zauważyła, że Albin jakiś nie swój, byłaby raczej wzięła to na karb jakiej niedyspozycji. Nie miała nawet czasu do zastanowienia się nad czemkolwiek, danserzy bowiem wyrywali ją sobie z rąk formalnie, a Albin rad był, że mógł pozostać jakiś czas ze swemi myślami, które mu się pod czaszkę cisnęły.

Dziwne bo uczucia nim miotały. Przyszedł tu przecież po to głównie, ażeby upokorzyć tę dumną Malwinę — i dlaczego stracił odwagę zaraz za pierwszem jej spojrzeniem? Nie kochał jej przecież; dawno wyrwał uczucie dla niej ze swego serca. Czyż mógł nawet pokochać prawdziwie tę kobietę, która duszę jego tak boleśnie drasnęła. Co to więc było? — Dlaczego ta kobieta taki urok na niego wywiera? Patrzył na nią, porównywał ją w myślach do Niny i porównywanie to stanowczo na korzyść tej drugiej wypadało. Tamta sprawiła mu tyle boleści, a ta? — tej winien taki ogrom szczęścia, że mu go na całe życie wystarczyć powinno. Zły był więc w duchu sam na siebie, że sam wyzywał uczucia swoje do walki, że sam sobie mącił ten błogi spokój, jakiegó od tylu miesięcy przy boku Niny zażywał.

A jednak i teraz, gdy szala jego uczuć stanowczo przeważała na stronę żony, zazdrościł tym, którzy składali hołdy Malwinie. Ile on dałby za to, gdyby tak mógł bez obawy zbliżyć się do niej teraz, powiedzieć jej, co jej miał do powiedzenia; powiedzieć jej, że czuje się szczęśliwym bez niej i pochwalić się przed nią z posiadania Niny. Gdyby mógł? — A czy istotnie mógł był to uczynić, czy nie brakłoby mu do tego odwagi? jemu, co nie wytrzymał jednego jej spojrzenia i jak żak szkolny zaczerwienił się po uszy. Ach gdyby się ten nieszczęsny bal w jednej chwili zakończył, gdyby tak wszystkie tańczące pary nagle gdzieś zniknąć mogły; gdyby te światła nagle zagasły i tony muzyki nagle przebrzmiały, a on mógł się znaleść od razu w tem uroczem zaciszu, w objęciach Niny, gdzie nie ścigałyby go uparcie weń wlepione, szatańskie oczy tej kobiety! Gdyby Nina objawiła teraz, że chce pójść do domu, jakże byłby jej wdzięczny, iluż pieszczotami wynagrodziłby ją za to dobrodziejstwo!

Ale sam nie śmiał jej tego zaproponować. Byłoby to z jego strony niegrzecznością w obec młodej małżonki, którą sam na pierwszy bal zaprowadził. Trzeba było czarę goryczy wypić aż do dna, a potem? — Albin nie był wstanie w tej chwili rozwiązać sobie tego pytania.

Takie tantalowe męczarnie przechodził Albin aż do chwili, kiedy obwieszczono pauzę dla kolacji. Towarzystwo podążyło tłumnie w stronę sali jadalnej, a z niem i Albin, podawszy ramię Ninie. Ale nie miał być jeszcze tego wieczoru kres jego niepokoju. Znalazł przy stole miejsca wolne, ale tuż obok Malwiny i jej ciotki, opiekunki zarazem, która sierocie, jaką była Malwina, zastępywała miejsce matki. Gdyby w tej chwili grom był padł z wysokiego nieba pod stopy Albina, niebyłby go tak przeraził, jak fakt, że miał z żoną zająć miejsce obok tej, której się tak widocznie obawiał.

Ale nie było czasu się namyślać. Stało się; musiał być na wszystko przygotowanym.

Usiedli; Albin tuż obok Malwiny, przegradzając sobą dwie kobiety, dla których obu serce jego uderzało niejednakowem uczuciem.

Gdyby to było możliwem, byłby Albin wcale nie patrzał na tę, która instynktem kobiecym odgadnąwszy jego zmięszanie, zdawała maskować się obojętnością, zaledwie bowiem spostrzegła obok siebie siadającą parę, zwróciła się do Albina z uśmiechem.

— A witam; niedobry pan jesteś. Niebyłeś pan łaskaw zaprezentować nam swej pani. — Ciociu — rzekła zwracając się do starszej pani — Pan Albin.

Kości były rzucone i Albinowi nie wypadało dalej grać roli nieznajomego. Przedstawił paniom Ninę, która ciekawym jak dziecię wzrokiem wpatrzyła się na jedną chwilę w promieniste oczy Malwiny i bezwiednie przysunęła się do boku Albina. Mimowoli bała się tej kobiety, którą widziała po raz pierwszy w swojem życiu. Nie znała jej przedtem, nie styszała o niej nigdy, a jednak ze spojrzenia, jakie ta jej mężowi rzuciła, przeczuła sercem, że między nią a ubóstwianym przez nią mężem, istnieje lub istniało coś, o czem nie wiedziała przedtem. Mimo lat swych, dziecięcych prawie, była przecież kobietą, a serce kobiety odgadnie rywalkę, choćby pod maską największej obojętności. Robak zazdrości ugryzł ją w serduszko. To roztargnienie Albina, ten niepokój, malujący się na jego twarzy, ta nagła w nim zmiana, jaką tego wieczoru zauważyła, wiązały się dziwnie w jej myślach z obecnością Malwiny. Potęgowało jej podejrzenie i to, że Albin, ilekroć nań spojrzała, lub nachyliła się ku niemu, nie patrzył jej w oczy tak śmiało jak zwykle, jakby poczuwał się do jakiejś winy.

Wszystko to trwało zaledwie jedną chwilę, ale jedna ta chwila była zarówno męką dla Niny, w której sercu budziło się podejrzenie zazdrości, jak i dla Albina, który przeklinał ten dzień, w którym żonę na ten bal nieszczęsny wprowadził. Czuł, że uczucie dla Malwiny, które tak dawno stłumił w sobie, roztlało gdzieś na dnie serca i że gmach szczęścia jego, który zdawało mu się, że na silnej ugruntował podstawie, zarysowuje się i runąć gotów. Nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się z nim działo. Nie kochał przecież tej Malwiny; kochał tylko Ninę. Tak! ją tylko kochał i żadne inne uczucie miłości w jego sercu istnieć nie było powinno.

Kolacja miała się ku końcowi i Albin rad był wielce temu, gdy ciotka Malwiny rozpoczęła rozmowę z Niną, przezco ta musiała poniekąd odwrócić uwagę swą od męża, siedzącego jak na torturze. Malwina zdawała się wcale nie zważać na swego sąsiada, prowadząc ożywioną rozmowę z siedzącym naprzeciw znajomym panem. Tymczasem w sali balowej odzywały się już melancholijne tony walca i pary wstawały od stołów jedna za drugą.

Świeżo poznajomieni udali się za innymi na salę, razem też usiedli na jednej kanapce, z której Ninę wnet porwano do tańca. Malwina, czy istotnie czuła się znużoną, czy też miała uknuty plan pozostania na chwilę przy Albinie, odmówiła danserowi, który ją do tańca prosił. Gdy zostali sami, tylko w towarzystwie ciotki, Malwina zwracając się połową twarzy do Albina, zagadnęła go niby od niechcenia:

— Czy pan nie tańczy?

— Nie pani — odpowiedział, unikając jej wzroku.

— Zdawało mi się, to jest, ile sobie przypominam, należałeś pan niegdyś do zapalonych danserów.

— Tak, lecz teraz... — wybąknął nieśmiało.

— Teraz pan spoważniałeś, no proszę! Czy pana tak małżeństwo zmieniło. A! niedobry z pana człowiek. Porzuciłeś pan tak nagle stan kawalerski, tak młodo...

W Albinie krew zakipiała i uderzyła gorącą falą do głowy. W tej chwili przypomniały mu się jej słowa, że „za młody“ jeszcze na męża. Obrażona duma odezwała się w nim i uważał, że właśnie stosowna nadeszła chwila, ażeby się zemścić nad niewierną.

— Nie żałuję pani — odpowiedział siląc się na spokój — jak pani sama widzisz, nie byłem za młody na męża.

Ostatnie wyrazy wymówił z przyciskiem, wpatrując się w twarz Malwiny, jakby chciał wyczytać z niej wrażenie, jakie one wywrą. Ale zamiast oczekiwanego skutku tej niby zemsty, jaką chciał mieć nad dawną kochanką, zobaczył w jej oczach, coś jakby wyraz politowania, a na ustach jej cudnie wykrojonych, uśmiech szyderski. Zamiast odpowiedzi, uderzyła go lekko wachlarzem po ręce i szepnęła:

— Zabawny pan jesteś, panie Albinie... I jakby chciała zakończyć ten mimowolny spór, tonem już zupełnie naturalnym zapytała:

— Wybieracie się państwo tego karnawału na więcej zabaw?

Albin zdumiał się nad tem, jak ta kobieta zręcznie z jednego przedmiotu na drugi zeszła, ale odparł:

— Prawdopodobnie nie; zdaje się że na tym jednym balu poprzestaniemy.

— No naturalnie, dla zakochanej pary małżonków najlepsza zabawa w domu — ciągnęła znowu z tym samym wyrazem szyderstwa, co poprzednio. — Dla nas, ludzi wolnych — dodała — zabawa jest obowiązkiem towarzyskim; my to jak niewolnicy, nie należymy do siebie, lecz do świata, w którym się obracamy. Ja niepowinnam była pana nawet o to pytać, bo to takie naturalne...

— Co, proszę pani?

— Bo gdy się ma szczęście w domu, poco go szukać na sali balowej, nieprawdaż panie?... ciągnęła znacząco słowo po słowie.

Albin przygryzł usta i nic nie odpowiedział. Czy ta Malwina drwiła sobie z niego? Bo ani na chwilę nie przypuszczał, ażeby z dobrego serca prawiła mu kazanie na ten temat.

Ona zaś, spostrzegłszy ten grymas na jego twarzy, przysłoniła się wachlarzem, ażeby nie zwracać uwagi obok siedzących pań i nadchodzącej właśnie Niny, którą jeden z panów na miejsce odprowadzał. Miała jednak dość czasu, aby Albinowi rzucić z za wachlarza to wyzywające spojrzenie, które na nim zawsze taki urok wywierało.

Nina, po ostatnim tańcu zmęczona, objawiła chęć odjazdu do domu, czemu się Albin nie sprzeciwiał, dość bowiem przeszedł męczarni przez tyle godzin i rad był nareszcie uciec jak najdalej od tych palących oczu Malwiny, przeklinając w duchu chwilę, w której powziął plan zemsty nad kobietą, co górowała nad nim wyrafinowaną kokieterją i tą zimną krwią, jakiej on nie posiadał, a tak potrzebną do zwycięstwa nad tym pięknym szatanem-kobietą, której jedno spojrzenie wystarczyło, ażeby wyrzucić go z równowagi.

O ile Albin i Nina, jak dwoje rozradowanych dzieciaków, jechali na tel bal, o tyle powrót ich, jakże odmiennym i dalekim był od radości. On siedział wtulony w kąt powozu, chmurny i zły na siebie samego i nie mający odwagi przemówić do żony szczerze, jak jeszcze tak niedawno; ona z główką, przepełnioną nieokreślonem jeszcze bliżej podejrzeniem, które jej się uparcie w mózgu rozsiadło. Tak znaleźli się przed domem, gdzie każde z nich — zmęczone — udało się do swego pokoju, nie mając sobie tej nocy po raz pierwszy od dnia ślubu, nic do powiedzenia.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Serenadę na orkiestrę smyczkową, kompozycji warszawianina p. Mieczysława Karłowicza wykonano niedawno na koncercie Tow. muzyków w Berlinie.

300-tna rocznica urodzin Van Dycka obchodzona będzie w sierpniu br. w Antwerptji.

Feliks Laudowicz, Polak, wydał w Berlinie pracę pt. „Wesen und Ursprung der Lehre von der Präexistenz der Seele und von der Seelenwanderung in der griechischen Philosophie".

Wybór pism Zygmunta Krasińskiego wyszedł w miniaturowem wydaniu nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Zawiera: „Nieboską komedję", „Irydjona", „Trzy myśli", „Syna cieniów", „Psalm wiary", „Ułamek naśladowany z glossy św. Teresy" i różne drobne wiersze.

„Im Polen-Aufruhr 1846—1848. Aus den Popieren eines Landrats von *,*. Pod powyższym tytułem wyszła w Lipsku książka, zajmująca się rewolucją w ziemiach polskich.

Słownik języka polskiego pod redakcją pp. Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego, zacznie wychodzić w Warszawie. Całość słownika obejmuje 240 szesnastostronowych arkuszy i przedzielona będzie na cztery grube tomy. Dzieło ukończone będzie w przeciągu 4 do 5 lat. Cały słownik kosztować będzie w prenumeracie 10 rubli